ROK 52. KRAKÓW, DNIA 24. LIPCA 1920. Nr. 18

DJABEŁ

Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ“ WŁADYSŁAW BORKOWSKI
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzemplarza 4 Mkp.

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przes. poczt.:

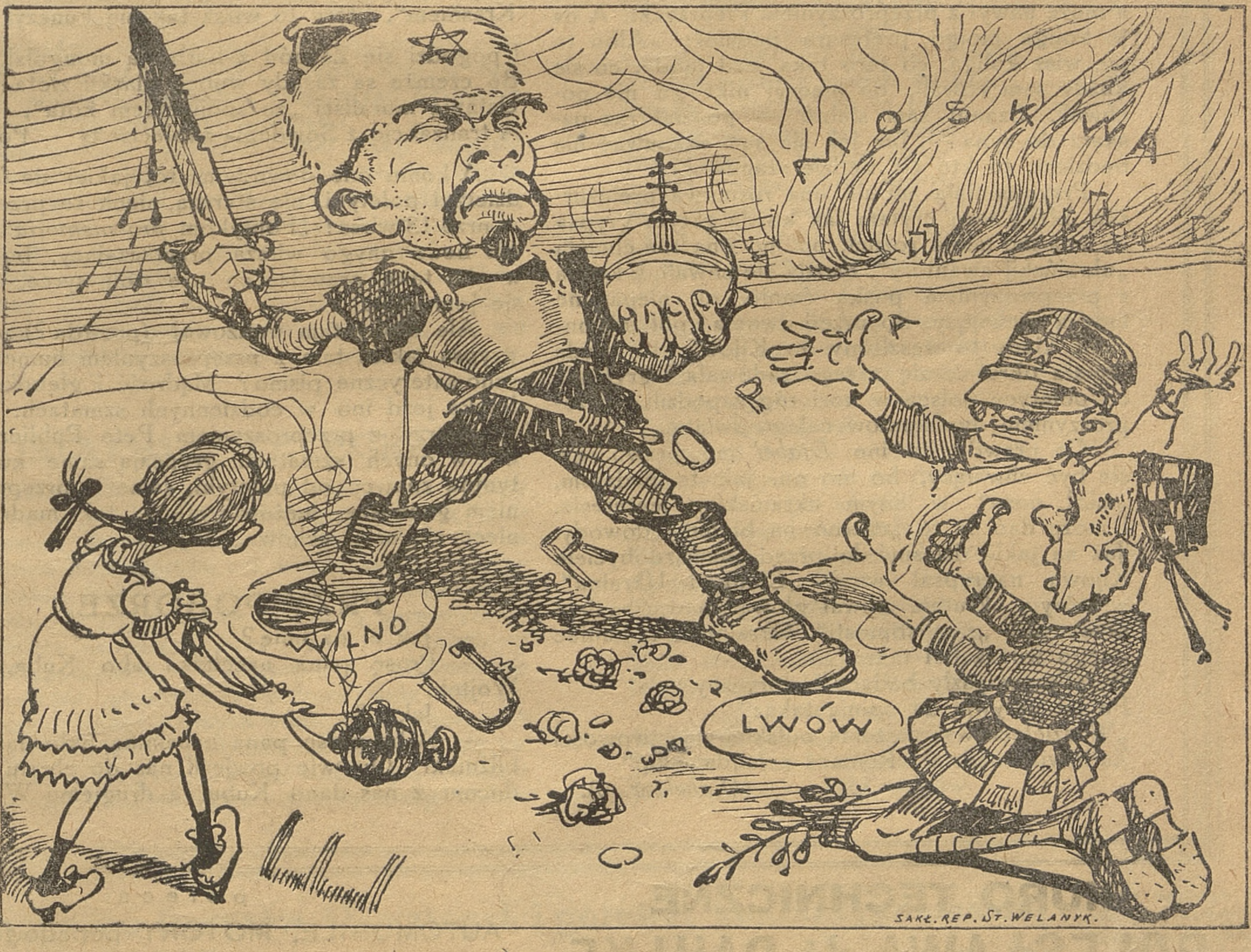
całorocznie	180 Mk
półrocznie	90 „
kwartalnie	45 „

Cena egzemplarza 4 Mkp.

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

LENIN WKRACZA DO EUROPY.



Anglik. Ach witaj nam, witaj, miły hospodynie!
Oto kolana nasze widzisz kornie zgięte...
Włoch. Evviva! Twoje imię w całym świecie słynie,
Niecierpliwie czekamy na *lux ex Oriente*.
Twojej łaski, Signore, pragniemy się dobić...
Anglik. Masz nas na swe usługi, byleś dał zarobić.

PAN WALANTY.



Roz ci mój prefesur (lotygo go wabię „moim", bo miszka w „moij" kamienicy, a lotygo jom wabię „moją" bo jezdem jej derekturem, czyli dozorcą, (abo jak dawnij gwarzyli stróżem, strugolem), – otoż roz ci ten mój prefesur mówił do swoigo koligi (a jo niechcący podsłuchałem) o jakimś zatraconym z przeproszyniem leteracie który sam o sobie furt grypsa w gazytach i okrutnie sam sie chwali co jezd drugi Mickiewicz, a może nawyt z przeproszyniem Pieprzycki. A na to koliga moigo prefesura pedzioł: „Albo to nie wisz koliga, co tero taka jezd moda, co sie kuždy sam chwali, bo inaczyj nikt go ňie pochwali. Szanuj sam siebie — pedział raz paskarz do syna — bo jak sie sam szanuwać ňie bedziesz, to kto cie bedzie szanuwał?"

Przypomniała mi sie ona rozmowa prefesurska, kiedy tero czytam jak kužda gazyta grypsa co ona ino mioła rozum, bo ino ona nie chcioła „ukraińskij awantury". Kužda sie chwali, a kužda z przeproszyniem puska ćmoje, na niepamińć ludzką rachujący. Bo przed dwoma i pół misioncami, kiedy to weszliśmy do Kijowa, to kužda szmata okrutnie się z tego radowała i grypsała co poletycy polscy w kozi róg zapędzili z przeproszyniem dyplomatów całego świata.

Co prawda, to ino *Djabeł* mo prawo sam sie być chwalący, bo ino on, jak to pedajom, „mioł nosa" w onym ukraińskim jenteresie. I może dać na to „czarno na białem" dowody. Już na jakie dziesinć dni przed onem zdobyciem Kijowa nagrypsał wirsz „Chiny i Ukraina", w którym okrutnie „kiwał głową" nad uznaniem przez nas „samostijnosti" Ukrainy. A kuniec onego wirsza beł taki:

A tylko przyszły badacz historyczny
Po lat upływie da opinję taką:
„W dziejach wskrzeszenia polskiej państwowości
Zadziwia rozdział: Romans z hajdamaką."
(*Djabeł* nr. 6).

A w tydzień późnij, kiedy wojsko polskie dopiru sie zbliżało do Kijowa, beł w *Djable* rysunek jak Polacy podsadzają ukraińców na mury Kijowa, a przytym wirsz „Z nowego Szewczenki":

Tanciuwała ryba z rakom,
Lach naiwnyj z hajdamakom.
Jewropa się dziwowała.
Szczo tak Polsza tańciuwała.
(*Djabeł* nr. 7).

Nie na tym kuniec. W tymże samym lumerze gaspadin Nikifor Mordoplujew grypsał w swym liście co nie obawia się o Rosję, bo „chatiaby Paliaki i Kijew wziali, to woskresnet wielikaja niedielimaja Rassija", bo Paliaki sami się o to „postarajuś".

I jeszcze nie kuniec. W tym samym lumerze *Djabła* beł wirsz p. t.: „Zważywszy" w którym *Djabeł* grypsał co ma boja, aby bez oną miłość do Ukrainy, Polska nie straciła Białorusi, Podlasia i Galicji Wschodniej.

A kiedy Kijów beł przez nas wzięty, to *Djabeł* nie wirzgoł z radości, bo mioł jakieś „złe przeczucie". W nrze 10 ino biadał, że „ciągle ofiarny płonie stos", a w nrze 11 z 5 czerwca podał przysłowie: „Nie miała Polska kłopotu, kupiła se Ukrainę". Wreszcie w lumerze 12 (z 12 czerwca) nagrypsał *Djabeł* dłuższy wirsz o tym jak „Lloyd George grucha z bandytą Krasinem", który to wirsz tak się kuńczył:

I pogodzi się Zachód z barbarją mongolską,
Bo czemże są zasady wobec blasku złota?
Ustąpią moraliści „ze spojrzeniem kota",
A tranzakcję z Sowdepią zapłacisz ty — Polsko!

A komu one dowody na to, jakiej sie *Djabeł* dzierżył poletyki, nie-starczą, niech se przeczyta w nrze 13 wirsz: „Politykom *pro memoria*". Ale nie bede onygo wirsza przytaczający, bo beła w nim taka prawda, co aże boli syrce, kiedy sie jom czyta.

Ale ktoby tam uważował (prowda?) co ci grypsa jakieś tam z przeproszyniem humorystyczno-sateryczne pismo? Mądrość i głęboka poletyka jezd ino w codziennych szmatach. Jeim to wierzy z przeproszyniem Pete Publiczność, bo w onych szmatach grypsają same kumpetyntne znawcy od poletyki, same z przeproszyniem geneusze, mężowie stanu, tak mądre, že niech sie osieł schowa.

PRZY POBORZE.

— Jak ci na imię?

— Prosę pana nacelnika abo Kuba, abo Wojtek.

— Jakto?

— A bo prosę pana nacelnika było nas dwa bliźniaki. Ojcowie powieźli nas do chrztu i jednemu z nas dano Kuba, a drugiemu Wojtek.

Ale po chrzcie to sie ojcowie tak w mieście spili, co jak do domu saniami powracali, (bo było to w zimie), to jeden z nas w drodze wyśliznął się i kajś ostał. Naleźli go potym, ale nie wiedzieli czy to Kuba czy Wojtek... Tak i ja nie wim czy jo Wojtek czy Kuba.

* * *

Lekarz. Ależ panie kapitanie! kwalifikuje pan do przyjęcia tego popisowego, który ma oczy zupełnie kose.

Kapitan. Właśnie tacy nam teraz są potrzebni, bo nam winno zależeć na tem, aby patrzyli jednocześnie na wschód i na zachód.

Z CHWILI.

Do złotej księgi zasłużonych krajowi należy wpisać nazwisko p. Noworolskiego cukiernika, czyli, jak się on sam nazywa: przemysłowca, z Sukiennic.

Zasługa jego wyszła na jaw wskutek napaści „jakiegoś pisemka brukowego“, które go nazwało „wampirem, wyzyskiwaczem i lichwiarzem“.

A tymczasem on (są jego słowa) „idąc z prądem czasu, lecz poddając swą wolę tylko szlachetnej stronie tego prądu“, zawarł ze swym kelnerem i dwoma pracowniczkami umowę, mocą której wydzierżawił im prowadzenie interesu za kwotę 1000 Mkp. dziennie, co jest „ekwiwalentem aż nazbyt skromnym“.

Odwołuje się więc p. N. do opinji, aby osądziła „do jakiego upadku doszło dziś u nas, skoro honorem obywatela mogą igrać bezkarnie rozmaite zdeprawowane jednostki.“

Rzeczywiście skromne 1000 Mkp dziennie dla człowieka takiej pracy, takiej wiedzy, takich zasług, takich idei „poddawania się szlachetnej stronie prądu czasu“ — jest stanowczo za mało. „Djabeł“ proponuje, aby społeczeństwo drogą składek uzupełniło p. Noworolskiemu dochód dzienny do 2000 Mkp. Będzie to wprawdzie skromny objaw wdzięczności narodowej, ale nie idzie o wysokość daru, lecz o intencję ofiarodawców.

»OSTATNIE« TELEGRAMY.

Budapeszt. Wszystkie fabryki salami stanęły z powodu strejku świń, domagających się podwyższenia deputatów o 135 % i chlewów na I. piętrze z komfortem i z windą, oraz... rogów dla siebie. Sklepy pp. masarzy krak. będą więc musiały dla tej vis maior być dalej hermetycznie zamknięte najmniej jeszcze przez 4—5 miesięcy.

Strypstryków. Wydawnictwa miejscowych dzienników postanowiły jednomyślnie nie zamieszczać odtąd żadnych wiadomości, tyczących ważnych wydarzeń i aktualnych kwestyj, ale zastosować strawę duchową do obecnego, lekkiego wiktu swoich czytelników, podwyższając wobec nagłego spadku cen porcelany chińskiej przedpłatę o 313 %.

* * *

W Bagateli wystąpi „tancerka plastyczna“ Maryla Gremo. Sprawozdawca „Wieku Nowego“ po występie jej we Lwowie pisał, że to 8-letnie dziecko wypuszczone na scenę prawie nago, wyuczone póz i ruchów lubieżnych, czyni wrażenie wprost wstrętne i nieestetyczne. Ale nasze dzienniki bez wyjątku nawołują do Bagateli na ten... występek. Wstyd!

MONOLOGI.

I. MORDKO FAJGEBLAT PODCZAS POBORU.

(Wybiega na estradę przerażony i wybladły. Głową kołysze na obie strony, poruszając długiemi pejsami. Ubrany w chałat beżowy, rozpięty...)

Aj waj mijer! — aj waj mijer...
Ledwo stoję już na nodze
Na co mnie ta cała Polska
Kiedy ja już ledwie chodzę...
Tak... ja całkiem już nie żyję!
Nikt w to chyba nie uwierzy:
Te komysye powiedziała
Co ja zdatny do żołnierzy.
(z rozpaczą)
Co ja — zdatny! Jak tak rzekła,
To buł straszny szmich na sali,
Pewno przez to, co te pany
To sze na mnie nie poznali...
Bo ja jezdem bardzo słaby,
Ja już jezdem blizki śmierci...
W bok mnie kłuje, w głowe chlupie,
I pod serce cosz mnie wierci...
Ja mam jednę nogę krótsze...
(udając kulawego)
O!... do żemi dotknącz nie chce,
Jezdem w ucho trochę głuchy,
I cosz w kyszki wcząż mnie łechce...
Ja mam pypecz na mój język,
Miałem dawniej rak na dłoni,
Wcząż mi dzwoni w lewe ucho...
Państwo słyszą jak mi dzwoni?
(po chwili)
Ta komysye powiedżała,
Co ja mam już lat trzydżeszci!
Aj waj, fukeł! W taki chłopak,
Czy sze tyle roków zmieszci!
Ja mam może ze szesnaszcie,
Może jeszcze miesząc — ale
Nigdy żadne ze trzydżeszci...
(Pokazując na figurę)
Ja brzuch nie mam żaden wcale,
Ja mam takie koszczów czenkie,
Jak zapałke — ręki, nogów,

To mam takie jak panienkie...
Ja nie moge bycz we wojsko.
Ja karabyn nie udźwygnę —
Ja już jestem całkiem krepirt
W całe plecy mam malignę...
(*Tajemniczo oglądając się*)
Przed ten pobór to na mieszęc
Ja już bułem bardzo chory —
Ja sze poznał z jeden felczer,
Co un dużo zna doktory...
To un zaraz mnie obejrzał,
A co bardzo jest przebiegły —
To un w oko mi zasypał
Kilkie razy tartej cegły...
To mnie oko sze zrobiało
Takie szyne i czerwone,
Co ja wcale nic nie widżał
I nie poznał nawet żone...
Potem to ten felczer zaraz
Dał mi dużo wode gorżki,
Potem to mi dał hunjade,
Potem znów jałape troszki —
Potem to mi dał memetyk,
Potem senes duży kawał,
Rumbarbaryum i łukrecye...
Potem to już nic nie dawał,
Bo ja bułem bardzo niezdrów,
Bułem bardzo osłabiały —
Bo już wcale nie ruszałem,
Jenom leżał bez dzień cały...
(*Bezsilnie*)
Przytem... to ja nic nie jadłem
Aż do same superwize,
To jak szedłem na komysye,
To miszlałem: nie dolizę!...
Gdy stanąłem na te sale
Przed panem oberlajtnantem
Rzekłem mu, żem untauglich,
Chyba będę — liwerantem!
Powiedziałem majorowi
Że nature takie moje,
Co ja kużde ostre rzecy
To okrutnie sobie boje...
Tate chczał mnie zrobiacz felczer,
Lecz ja bał sze ostre brzytwe,
Po co ja mam iść do wojsko?
Ja uczeknę zara z bytwe...
A jak ja uczekacz będę,
To i insze za mną zaraz —
Całe bytwe sze popsuje —
Po co robicz ten ambaras?
(*Przekonywująco*)
Powiedziałem do komisye
Mądre słowo: mówią wszędźie,
Co przez jeden żołnirz także
Doskonałe bytwe będźcie...
A jak będźie przez ten jeden,
To ten jeden niech ja będę —
Co to szkodży?... Ja mam żone,
Dżeczów kilkie i arende...
(*Ze zmartwieniem*)
Jak skończałem moje mowę,
W które miałem dużo strachu,
To wstał major i powiedział:
— Wsadżacz jemu na odwachu!!
Un sze sztucznie uniezdrowił,
To za takie szyłne zbrodnie,
Zaraz na front go wysyłacz
By buł tam za dwa tygodnie...
(*Oburzony*)
To ja szedzę na odwachu,
Takie sze zrobiało chryje...
(*Z żalem*)
Ja już państwo nie zobaczę...
Aj waj — mijer!... Aj waj — mijer!...
A jak któren z państwa zna sze,
Z komisyjne te doktory —
Niech im będże wytłomaczycz,
Co ja jezdem...
(*Z bólem wychodząc*)
bardzo chory!!

LEKCJA ŚPIEWU.

Miałem interwiew z pewnym wielkim tenorem. Opowiadał mi jak się kształcił u słynnego Doremifasoliniego.

Udałem się do niego mówił tenor i zawiązała się następująca rozmowa:

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałbym, aby mi pan postawił głos.

— Dobrze. Godzina sto franków, przed lekcją 80, a 20 po lekcji.

— Dlaczego?

— Bo nie każdy mój uczeń wytrzymuje całą lekcję.

Dałem pieniądze, a profesor wziął skrzypce do ręki i rozpoczął lekcję od pociągania jednego tonu po strunie.

— Śpiewaj pan: „do"...

Zacząłem ciągnąć „dooo"... ze wszech sił.

— Głośniej!

— Dooooo.

— Jeszcze głośniej!

— „Doooooo"... krzyczałem tak, że mi oczy na wierzch wyłaziły, a żyły na skroniach pulsowały gwałtownem tentnem...

— Nie tak! źle — gorączkował się profesor... Śpiewaj pan swobodniej — wyjesz tak, jak wół gdy go brzuch boli.

Dooo-wałem dalej.

— Bałwan! krzyknął profesor i położył skrzypce. Przeszedł się parę razy po pokoju, poczem spojrzał na mnie z pogardą i zawołał gromko:

— Zdjąć surdut!

— Po co?

— Zdjąć i basta!

Oczywiście zdjąłem i czekam.

— Kamizelka!

— Co?

— Prędzej!...

Zdjąłem kamizelkę i pokornie pytam:

— Czy mam zdjąć i...

— Nie potrzeba! Teraz połóż się pan na podłodze. No — prędzej! Brzuchem do góry! — tak.

Profesor porwał ze stołu gwicht 10-kilowy i położył mi go na piersiach

— Śpiewaj: „do".

— Dooo...

— Mocniej!

— Dooooo...

Profesor dołożył drugi gwicht, trzeci, czwarty, tak, żem wpadł w dychawiczne omdlenie. Czułem brak powietrza, zaczynałem bronić się, fikając nogami, machając rękami, aż po długich cierpieniach udało mi się cały ciężar zrzucić z piersi.

— No — rzekł profesor — teraz zobaczymy dolną szczękę — otwórz pan usta.

Otworzyłem.

— Hm! może trzeba będzie wyjąć dwa zęby...

To mówiąc począł mi usta palcami obu rąk rozdzierać do niemożliwości.

— Śpiewaj pan: be!

— Bee... zacząłem śpiewać, ale przy drugim już bee profesor rozpoczął wyprawiać tak straszne historje z mojemi szczękami, że myślałem iż odgryzę sobie kawał języka, lub umrę z bólu.

— Dalej, śpiewaj „be"!..

— Beeee...

— Głośniej! ryknął i obie łapy profesorskie wcisnął w mój otwór ustny...

Wyrwałem się. Myślałem, że już koniec lekcji — gdzie tam! Tyran owijał mi język ręcznikiem, wyciągał język na brodę aż do piersi, uderzał dłonią w krtań, zatykał nos, kładł mię na podłodze, stawiał na czworakach, a ciągle kazał śpiewać „be".

No be, to be...

Naraz na dany przez profesora sygnał z sąsiedniego pokoju wyskoczyło dwóch drabów, atletycznej budowy i dzikiego wyrazu twarzy.

Momentalnie owinęli mnie w połowie korpusu szerokim rzemiennym pasem — i każdy zaczął go ciągnąć za swój koniec.

— Śpiewaj pan: „do" krzyknął profesor a rzemień wbijał się w ciało moje jakby mnie chciał przeciąć na połowę.

— Dooo... — zaśpiewałem słowiczym swym tenorem, a w oczach profesora zabłysnęła iskra dumy i zachwytu.

— Będziesz wielkim tenorem! rzekł, nacierając moje skronie octem...

„Oto taką szkołę przeszedłem" — rzekł wielki śpiewak, przyszły pierwszy tenor przyszłej stałej opery krakowskiej.

MONOLOG SZMAJGEŁESA.

Ja znów wiele mam zmartwienia,
Bo to casus bardzo brzydki:
Do poboru sze stawienia,
Unikają bardzo żydki.
Patrole ich wyłapują
Jakgdyby jakie zwierzęty,
I potem asenterują,
Bo zdrowe od głów do pięty.
Źle robią, bo choć mianowacz
Nie chcą się patryotami,
To brzydko jest sze dekowacz,
Nie chcieć zostać wojakami,
Bo gdy przyjdą bolszewiki,
I owładną kraj nasz cały,
To będą jak wszczekłe byki
Wszystkie żydki mordowały!
Ja sam chciałbym bicz wojakiem,
Chociaż dla mnie nie ma musa,
Bo starym jestem chyrlakiem,
I strasznego mam blatfussa.
Ale gdy sze od Rosyje
Zbliża do nas zbójców fala,
Wołam: Niech każdy co żyje,
Bierze broń! praży Moskala!

KAŚKA CIAPALINA. (c. d.)

PIEŚŃ TRZECIA.

Opisanie jako Jan Piórko zdradził Kaśkę i jak się Kaśka na nim zemściła.

Człowiek zgłodniały kiedy u masarza
Zobaczy szynkę w oknie na marmurze,
Aby ją posiąść w swej duszy rozważa,
I spożyć szynkę ma pragnienie duże,
Nie spocznie, aż gdy w życia zwykłym wątku
Szynka się w jego pojawi żołądku.
Lecz kiedy szynką jest już nasycony,
Głód zniknął, a z nim pragnienie nad miarę,
Gdy już zupełnie jest zaspokojony,
Jeść ją uważałby za wielką karę.
Jako ze szynką również i z miłością,
Bywa na świecie, chociaż jest zdrożnością.
Jan Piórko, gdy go Kaśka nasyciła
Swoją miłością, aż po same uszy,
Już go jej miłość więcej nie nęciła,
Już tak jak szynki więcej jej nie ruszy.
Już nie chciał więcej miłości Kaśkowych,
Ale do szynek zabierał się nowych.
Niewiasta jednak, gdy się kogo czepi,
To się go trzyma jakgdyby kleszczami —
Jako zjadliwa pluskwa się przyczepi,
I nieodpędzisz jej od siebie psami
Zwłaszcza, gdy jak to Kaśce białopióry
Bocian bękarta przyniesie z pod chmury.
Przepadłeś, gdy się ten casus wydarzy —
Tu nie pomoże płacić alimenty —
Baba ci piwa brzydkiego nawarzy —
Wtenczas się żenić obowiązek święty!
Chociażbyś uciekł, skrył w dziewiczym lesie,
Znajdzie i bębna ze sobą przyniesie.
Jakie się teraz odbywały sceny,
Walki na słowa, i pięści i ryki,
Opisać słów brak i potrzebnej weny —
Lecz, gdy kto widział dwa walczące byki!
Niech stawi obraz ten przed oczy swoje,
Bo Kaśka z Piórką takie wiodła boje.
Ku cnocie Piórko teraz zwrócił kroki,
I jako okręt miotany falami,

Gdy maszt, co pierwej sięgał pod obłoki,
Schylił się, schronić pragnie przed burzami,
Dąży do portu, chciał się Piórko zmienić,
Z córką wójtową pragnął się ożenić.
Czynić pokutę, za grzechy żałować,
To rzecz przez wielu bardzo zachwalana,
Ale nie zdolna wówczas uratować,
Gdy cnota była bardzo zaszargana.
Doznał też tego Piórko na swej skórze,
Bo jego grzechy były bardzo duże!

. . . .

Cóż to za postać w ciemnej nocy kroczy?
Czy duch? czy z piekieł wyrzucona mara?
Złością piekielną pałają jej oczy!
Pod płachtą skrzętnie coś ukryć się stara.
Ha! to jest Kaśka! Kaśka Ciapalina!
W ręku siekiera! Okropna jej mina!
Idzie gdzie Jana Piórki jest mieszkanie —
Idzie, — pomału jak śmierci wysłanka.
Coś się strasznego, okropnego stanie!
Może chce zabić swego exkochanka?
Straszną kobieta kiedy dozna wzgardy!
Niczem hyeny, lwy i leopardy!
Łatwiej ugłaskać rekina lub żmiję!
Aligatora zwalczyć żarłoczności!
Wstrzymać błyskawic lot, gdy burza wyje!
Łatwiej wulkanów ugasić wnętrzności!
Niżli kobiety, kiedy jest wzgardzoną
Zwalczyć złość żarem piekieł rozpaloną!
Ty śpisz o Janie! Jakgdyby z tartaku
Twoje chrapanie rozlega się w nocy!
Kaśka się zbliża! Wstawaj nieboraku!
Dusza ci z ciała wyleci jak z procy!
Snisz o weselu, plackach, kluskach z makiem,
A śmierć się zbliża szybko nie okrakiem!
Janie! wstań z łoża i pisz twój testament!
W nim przeznacz także coś dla organisty,
By ci zaśpiewał. Wkrótce będzie lament!
Wygłoś do niebios jaki akt strzelisty!
Grzechami twoja dusza nasycona,
Wnet będzie w piekle przez djabły smażona.
Jan się nie budzi, a Kaśka nad łożem
Z siekierą stoi. Siekierą machnęła!
Głowa odcięta tak, jakgdyby nożem
W krwi ukąpana na ziemię runęła,
Szatan wziął duszę pomiędzy pazury,
I z nią poleciał nad lasy, nad góry. (C.d.n.)

T. S. K.

MACIEJ DRĄG.

Historya prawdziwa.

Maciej Drąg był analfabetą. Chodził wprawdzie do szkoły przez lat pięć, ale pomimo szczerych usiłowań nauczyciela, ani jedna litera w mózgownicy utkwić mu nie zdołała. Pisać również nie mógł się nauczyć, bo miał tak wielką i ciężką rękę, że każde pióro, które wziął do niej, zaraz złamał, a to co napisał raczej, do jakichś przedpotopowych robaków aniżeli do liter było podobnem. Nauczyciel, widząc namalowane w jego kajecie kulasy, płakał z rozpaczy, wyrywał sobie włosy z głowy i kupkami układał na katedrze.

Maciej Drąg był zbudowany jak Herkules i był najsilniejszym w całej wsi; pod jego stopami ziemia dudniała. Ukończywszy szkołę bez żadnego postępu, służył za parobka u różnych gospodarzy, a jego siła była wielce ceniona. Czego dwa konie nie mogły z miejsca ruszyć, dla niego przychodziło to z łatwością. Swej siły jednak nigdy nie nadużywał i był nadzwyczaj łagodnego i spokojnego usposobienia. Raz tylko dał się porwać złości, a sprawa tak się miała:

Zaręczył się z córką zamożnego gospodarza i ślub miał się wkrótce odbyć. Zakochany w zapale miłosnym tak silnie i serdecznie uściskał swoją narzeczoną, że złamał jej dwa żebra i nadwyrężył obojczyk. Narzeczona, obawiając się, że w małżeństwie nie tylko żebra ale także inne jej kości na złamanie będą narażone, już go za męża mieć nie chciała i ślub do skutku nie przyszedł. Maciej Drąg bardzo nad tem bolał, bo był mocno zakochany. Gdy jego byłej narzeczonej odbywało się w karczmie wesele, gdyż wyszła zamąż za innego parobka, tak go to rozzłościło, że wpadł do karczmy i nie tylko swoją exnarzeczoną, jej małżonka, wszystkich gości weselnych i muzykantów, ale także karczmarza i jego żonę wraz z sześcioma bachorami, pierzynami i łóżkami przez okno wyrzucił. Za gwałt ten został zasądzony na kilka dni aresztu.

Gdy wybuchła wojna światowa, chętnie pospieszył do szeregów. Sposób jednak prowadzenia wojny nie przypadł mu do gustu; on pragnął z nieprzyjacielem z bliska się rozprawić, a nie z odległości tylko do niego strzelać. Długo nie miał sposobności do bezpośredniego starcia się. Raz nareszcie, gdy nieprzyjaciel do jego kompanii, ukrytej w rowie strzeleckim z niezbyt wielkiej odległości strzelał z karabinu maszynowego i wiele szkody wyrządził, Maciej Drąg dłużej na taki rodzaj wojowania nie mógł się zgodzić. Nie zważając na rozkaz komendanta, aby się kryć w rowie, wyszedł z rowu, karabin zarzucił na plecy i mimo świstu kul wolnym krokiem zbliżył się ku nieprzyjacielowi do miejsca na którem stał karabin maszynowy. Ta odwaga i jego zjawienie sią tak przeraziły obsługę karabinu, że część obsługi uciekła, a tych co pozostali, chwyciwszy karabin za lufę, kolbą ubezwładnił. Następnie tak, jakby to był lekki kuferek lub torba podróżna, zarzucił karabin maszynowy na plecy i wolnym krokiem idąc, zaniósł go do swojej kompanii. Zapytany przez komendanta, czy karabin maszynowy ciężki? Odpowiedział tylko: obleci. Śladów zmęczenia nikt na nim nie zauważył. Za ten czyn otrzymał odznaczenie. Niestety, końca wojny światowej nie doczekał i padł ofiarą swej odwagi. W czasie większej potyczki, rzucił się sam na polową armatę, część obsługi uśmiercił, reszta zaś um-

knęła, ale gdy z całej siły sam jeden ciągnął armatę, aby ją przewieźć do swoich, zanim pomoc się zjawiła, padł ugodzony kilkoma kulami. Jego śmierć cała kompania boleśnie odczuła.

T. S. K.

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Feljeton składany).

I. Tryumf próżniactwa.

(nadesłane).

Ponieważ tylko wytężona praca może nas uratować, przeto dobrze wartość jej rozumiejąc, otwieramy sklepy o 9, zamykamy je na dwie godziny w południe, aby znowu o godz. 6 pójść wprawdzie nie na wieczne ale na 15 godzinne odpoczywanie.

Nasze poczciwe władze miejskie (a poczciwość rzadko kojarzy się z mądrością) pilnują zawzięcie, aby tych godzin ściśle się trzymano. Rezultatem tego, obok tryumfu idei pracy, jest niesłychana wygoda dla publiczności, zwłaszcza dla urzędników, którzy właśnie w czasie kiedy sklepy są otwarte siedzą w biurach. Błogosławią to mądre rozporządzenie i przejezdni, którzy przybywszy o godz. 6 do Krakowa nic już kupić nie mogą, choć dnia jest jeszcze 3 godziny.

Czyby mądre władze nie mogły przedłużyć otwarcia sklepów choćby do godz. 7. Możnaby za to od kupców brać pewien procent na skarb państwa od towarów w tej przedłużonej godzinie sprzedanych.

II. Trwoga przed Steinachem.

Otrzymaliśmy list następujący:

Szanowny obywatelu Djable!

Wyszłam młodo za mąż, stąd też pomimo, że mam dorastające dzieci (Zyzio świeżo zdał maturę), nie myślę zrzec się praw nabytych do mojego męża.

Od pewnego czasu jednak mój Antoś (tak mu na imię) ochłódł znacznie, czemu bym się zresztą nie dziwiła, boć szósty krzyżyk u niego za pasem.

Dostrzegłam jednak z przerażeniem, że to chłód pozorny, gdyż w towarzystwie młodych kobiet i panien ożywia się, a nawet byłam zmuszona odprawić naszą pokojówkę. Jedyną moją pociechą było przekonanie, że więcej tam „dobrych chęci“ niż czego innego, że to już wulkan wygasający...

Tymczasem od tygodnia Antoś wpadł w szalony humor. Skacze, gwiżdże, podkręca wąsa, rzuca naokół zalotne spojrzenia...

Przeprowadziłam śledztwo — i znalazłam w jego biurku trzy numery Ill. Kurjera Codziennego z zakreślonemi czerwonym ołówkiem artykułami o doniosłych doświadczeniach prof. Steinacha.

W pierwszej chwili ucieszyłam się, pomyślałam bowiem: odzyskam mojego dawnego Antosia. Ale przyszła rozwaga. Nie mam, niestety, wątpliwości, że odmłodzony Antoś nie będzie grzał się przy domowem ognisku, lecz zapały swe skieruje ku młodszym odemnie... Czeka więc mnie wstyd, upokorzenie.

Szanowny obywatelu! Mając zaufanie do Twojej znajomości świata i ludzi, proszę cię o radę w mojem strapieniu. Co mam począć, aby wynalazek prof. Steinacha nie odebrał mi marnych resztek mojego męża? (podpis)

Odpowiedź Djabła: Uspokój się, łaskawa pani. Napróżno Antoś się cieszy. Dzieje rzekomego odmładzania mają już kilka wieków za sobą. Pomijając szarlatanów, nawet i uczeni szukali środków, aby z niedołężnych starców zrobili jurnych młodzieńców. Przed 30 laty głośny Brown-Secquard znalazł taki środek, próbował go na sobie — i wkrótce umarł na uwiąd starczy. Przed 20 znowu laty również głośny uczony Miecznikow znalazł eliksir młodości z takim samym skutkiem. Natura ma swoje niezłomne prawa. Nie można wierzyć piśmidłom polującym na sensację i żyjącym z ludzkiej naiwności. Gdyby komu się zachciało przejrzeć wszystkie roczniki Kurjera znalazłby cały szereg blag tego rodzaju. Co roku w Kurjerze wynajduje ktoś środek na odmłodzenie — to też stali czytelnicy tego pisma stale... dziecinnieją.

III Budziciele ducha.

Pod nagłówkiem „Młodzi ludzie i poeci na front“ zamieszcza warszawski „Przegląd wieczorny“ bardzo słuszne uwagi. Idzie mu o to, że w chwilach ciężkich rozmaici informatorzy prasy fabrykowali zbyt długo w swej kuchni półoficjalnej wiadomości mające niby pokrzepiać ducha według recepty budzenia fałszywych nadziei.

„Jeżeli — kończy swój artykuł „Przegląd wieczorny“ — narzeka się dziś słusznie, że opinja publiczna polska nie doceniała ważności wojny z bolszewikami, że zapatrywała się na nią, jak na jakąś drobnostkę podrzędną, nie grożącą żadnemi niebezpieczeństwami, że nie zdawała sobie sprawy, iż chodzi tutaj o bój na śmierć i życie dla Polski — to wina cała, cała — podkreślamy z naciskiem — spada na owych młodych ludzi i poetów, którym w lekceważeniu opinji publicznej powierzono aparat prasowy, sądząc, iż to wszystko jedno, jak i czy opinję publiczną polską będzie się uświadamiało o wojnie i o jej znaczeniu militarnem i politycznem.

„To też dzisiaj młodych ludzi i poetów, którzy wypisywali w prasie panegiryki na cześć generałów-solenizantów, należy posłać na front, aparat prasowy wojskowy zaś oddać w ręce ludzi doświadczonych, którzy potrafią wytłómaczyć Polsce, że chodzi tutaj o jej byt lub niebyt.“

!! SUBSKRYBUJCIE POLSKĄ POŻYCZKĘ !!

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski. Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.